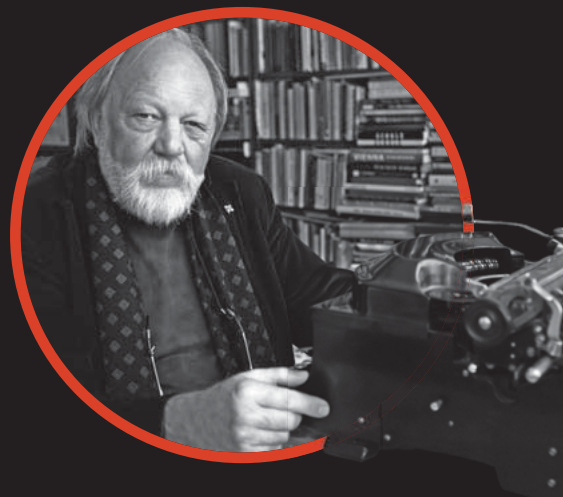




TADEUSZ CEGIELSKI

MORDERSTWO W ALEI RÓŻ



Tadeusz Cegielski (ur. 1948) — historyk, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego, znawca historii nowożytnej oraz historii idei, wolnomularz — obecnie Wielki Mistrz Honorowy oraz Wielki Namiestnik. Ojciec Maxa Cegielskiego — dziennikarza i pisarza. Był przewodniczącym Rady Muzealnej Zespołu Pałacowo-Parkowego w Dobrzycy; od 1992 roku pełni funkcję redaktora naczelnego czasopisma „Ars Regia”, poświęconego wolnomularstwu. Jest współautorem książki *Rozbiory Polski 1772–1793–1795*, autorem prac o wolnomularstwie, m.in. *Sekrety masonów* (1990) i *Ordo ex chao* (1994), a także programów i podręczników szkolnych w zakresie historii. Związany z mediami od czasów studenckich, pisał również scenariusze telewizyjne, filmowe oraz adaptacje teatralne.



**TADEUSZ
CEGIELSKI**
**MORDERSTWO
W ALEI RÓŻ**



Gianrico Carofiglio	<i>Świadek mimo woli</i> <i>Z zamkniętymi oczami</i> <i>Ponad wszelką wątpliwość</i> <i>21:37</i>
Mariusz Czubaj Ryszard Ćwirlej Martha Grimes	<i>Ręczna robota</i> <i>Hotel Paradise</i> <i>Stacja Cold Flat Junction</i> <i>Hotel Belle Rouen</i> <i>Pod Huncwołem</i> <i>Pod Przechytrzonym Lisem</i> <i>Pod Anodynowym Naszyjnikiem</i> <i>Pod Zawianym Kaczorem</i>
Arnaldur Indriðason	<i>W bagnie</i>
Jean-Claude Izzo	<i>Grobowa cisza</i> <i>Total Cheops</i> <i>Szurmo</i> <i>Solea</i>
Tomasz Konatkowski	<i>Przystanek Śmierć</i> <i>Wilcza wyspa</i>
Marek Krajewski	<i>Nie ma takiego miasta</i> <i>Widma w mieście Breslau</i> <i>Festung Breslau</i> <i>Dżuma w Breslau</i> <i>Głowa Minotaura</i>
Marek Krajewski, Mariusz Czubaj	<i>Aleja samobójców</i> <i>Róże cmentarne</i>
Jens Lapidus Henning Mankell	<i>Szybki cash</i> <i>Morderca bez twarzy</i> <i>Psy z Rygi</i> <i>Biała lwica</i> <i>Mężczyzna, który się uśmiechał</i> <i>Fałszywy trop</i> <i>Piąta kobieta</i> <i>O krok</i> <i>Zapora</i> <i>Chińczyk</i>
Aleksandra Marinina	<i>Kolacja z zabójcą</i> <i>Gra na cudzym boisku</i> <i>Ukradziony sen</i> <i>Złowroga pętla</i> <i>Śmierć i trochę miłości</i> <i>Męskie gry</i> <i>Zabójca mimo woli</i> <i>Płatki giną pierwsze</i> <i>Czarna lista</i>
Zygmunt Miłoszewski Denise Mina	<i>Uwikłanie</i> <i>Pole krwi</i> <i>Martwa godzina</i> <i>Ostatnie tchnienie</i>
Karina Obara Heinrich Steinfest Joanna Szymczyk	<i>Gracze</i> <i>Subtelny nos Lilli Steinbeck</i> <i>Ewa i złoty kot</i>



MRO CZNA
SERIA

TADEUSZ
CEGIELSKI

MORDERSTWO
WALE RÓZ

Wydawnictwo
ab

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010
Wydanie I
Warszawa 2010

*W hołdzie wszystkim bezimiennym twórcom
powieści kryminalnych, a w szczególności autorowi
Tajemnicy pokoju numer 13*

DZIEŃ PIERWSZY

NIEDZIELA PALMOWA



Ryszard Maria Wirski, przed wojną komisarz policji państwowej, mógłby się nazwać szczęśliwcem, ponieważ zachował część swojego mieszkania przy ulicy Flory 3. Rodzinna kamienica ocalała, podobnie jak dom sąsiedni, pod numerem pierwszym, u zbiegu Flory i Kłownowej. Okazała kamienicę narożną, obecnie jedną z najlepszych w Warszawie, przejęło wojsko. Swoją własnością Wirski podzielił się z centralą górnictwa naftowego oraz kilkunastoma rodzinami, upchniętymi zarówno w apartamencie na czwartym piętrze, jak i w niezajętych jeszcze przestrzeniach w suterrenach i oficynie. Były kamienicznik nie tylko pogodził się z tą sytuacją, ale — zważywszy na ogromniszczeń w stolicy — uważał ją za naturalną. Jeśli nie martwiła go utrata własności, to przecież fakt zachowania jej części nie był dlań źródłem jakiegóś szczególnej satysfakcji. Podobnie jak to, że uratował życie, ba! że jako jedyny funkcjonariusz Komendy Głównej Policji mógł nadal pracować w swoim zawodzie.

W nowym otoczeniu Wirskiego, jakie tworzył odbudowany Pałac Mostowskich i rezydująca w nim komenda MO miasta stołecznego Warszawy, znaleźli się ludzie, którzy ten sukces uznali za naturalny:

— Pomyślcie, obywatelu kapitanie! Rządy się zmieniają, a policja zostaje! To policja czyni możliwym szybkie oraz skuteczne przejęcie władzy — powiedział kiedyś major Rękawek, szef wydziału drugiego i przełożony Wirskiego. —

Taki Kudełka, na przykład: przed wojną w randze przodownika w referacie gospodarczym, a za okupacji, proszę! Od 1940 roku starszy przodownik w Policji Polskiej GG, rok później już podkomisarz. Skąd tak szybki awans? Otóż sporo wiedział ten nasz Kudełka, naprawdę sporo, gdyż pracował również dla Kripo. A po wojnie? Należała mu się, teoretycznie, czapa, ale komisarz, tak, wtedy komisarz, Alfred Kudełka miał dać katu cenną głowę, wolał podzielić się z nami swą wiedzę. A dzielił się nad wyraz hojnie... — to mówiąc, major Rękałek spojrzął bacznie na Wirskiego. — I co powiecie na to, kapitanie Wirski: Kudełka zachował i głowę, i stopień! Dziś byłby już majorem!

— Coś przecież złego przydarzyło się temu Kudełce? — kapitan nie zareagował na aluzję do własnej kariery. Ta nie układała się równie wspaniale jak kariera Kudełki.

— Niestety, kapitanie! Podziemie wykonało wyrok na nim i jeszcze na dwóch naszych! — westchnął Rękałek. — Dokładnie w sylwestra czterdziestego szóstego!

— Cóż, nikt nie uniknie tego, co mu pisane! — skwitował Wirski. Tak naprawdę nie podzielał tego poglądu. Głęboko wierzył w przyczynowo-skutkowy, racjonalny charakter losów świata i ludzi. Kudełka dostał to, na co zasłużył. A za wielce nierozsądną uważał gotowość nowego reżimu do posługiwania się kolaborantami wszelkiej maści. Ich wymuszona strachem lojalność musiała być cienka jak marcowy lód. Ani w tej, ani w wielu innych kwestiach przedwojenny policjant nie miał nawet odrobiny racji. Na szczęście jednak nie dzielił się z nikim swoimi opiniami.

Z okien obszernego, służbowego pokoju, jaki pozostawiono obecnemu kapitanowi milicji, rozciągał się widok na Łazienki i Belweder oraz na ulicę Klonową; również tę część Klonowej, która nie była już dostępna: od ulicy Flory odgradzał ją szlaban i strzegli jej żołnierze. Dalej, w stronę ulicy Bagatela, ciągnął się wysoki mur, zbudowany przez jeńców niemieckich.

Przy zamkniętej części Klonowej, w dwurodzinnej willi pod piątym, rezydować miał — w przekonaniu mieszkańców Flory — marszałek Rokossowski. *Vox populi Florensis** głosiło także, że na Flory pod pierwszym mieszka prezydent Bierut — oczywiście *incognito*, oraz że Klonową, a więc najkrótszą drogą, zmierza do pracy w Belwederze. W przeciwnym wypadku — twierdzono — musiałby poruszać się Flory i Bagatelą: najpierw wzdłuż muru wokół placu po willi Bacciarellego, potem pod nieistniejącą już cukiernią oraz poselstwem Szwecji pod trójką i dopiero na skrzyżowaniu z Alejami skręcać w prawo do Belwederu. Po drodze nie mógłby więc wstępować do Rokossowskiego, a to stanowiło część jego obowiązków.

Wyobrażenie prezydenta, eleganckiego, w dwurzędowym garniturze w tenis, wędrującego z teczką pod oknami jego kamienicy, bawiło niezmiernie kapitana. Mały pan z wąsikami uśmiecha się do dzieci grających w klasy; dzieci podbiegają do prezydenta, prosząc o cukierki — to powtarzany od lat rytuał. Prezydent przyjaźnie kiwa głową i otwiera ciężką od akt teczkę. Jedną z przegródek

* *Vox populi Florensis* — łac.: głos ludu [z ulicy] Flory.

wypełniają cukierki, te najlepsze: toffi, krówki i słodkie landrynki. Wirski przypomniał sobie relację któregoś ze znajomych: żona aresztowanego oficera zdołała wręczyć Bierutowi petycję, właśnie na Flory. Jak to możliwe, zastanawiał się. Ulica, przy której — z przerwami na wydarzenia wojenne i więzienne — mieszkał od 1925 roku, zdawała się nie kryć żadnych tajemnic. Może poza jedną — osobą, na której cześć Niemcy przemianowali Flory na Friederike-Richter-Strasse. Pani lub panny Richter nie znalazł w żadnej niemieckiej encyklopedii; doszedł więc do wniosku, że patronką ulicy została jakaś ważna — choć świeżej daty — figura w ruchu nazistowskim albo na przykład — co nie wykluczało pierwszej możliwości — kochanka marszałka Göringa. Już po wojnie, przesłuchując niemieckiego oficera, dowiedział się, że miał sporo racji. Nie wypadłby przecież na to, że według Niemca, *Fräulein* Richter bardziej niż z działalności w NSDAP znana była jako... feministka.

Całkiem niedawno kapitan mógł stwierdzić, że jeśli prezydent nie mieszkał, to przynajmniej bywał pod jedyneką. A to za sprawą swojej kochanki, a może nawet żony — jak twierdzili dobrze poinformowani — Wandy Górskiej...

Oderwał wzrok od nieosłoniętego okna. Pokój na Flory: niepościelone łóżko, za łóżkiem nocny stolik, lampka z dziurawym abażurem, taboret, emaliowany dzbanek i także miednica. Dalej niemodny secesyjny kredens, służący teraz jako szafa na ubrania, stół długi i szeroki, pamiętający lepsze czasy, oraz kilka wytartych tapicero-

wanych krzeseł. Na stole, na krzesłach, na podłodze stosy papierów i książek; niektóre z kolorowymi zakładkami. Czasopisma — oprawione roczniki i rozsypane numery. Powojenne gazety drukowane na szorstkim, żółtawym papierze. Pod ścianami piramidy płyt w kopertach, a także luzem; niektóre połamane, wszystkie zakurzone i brudne. Na ścianach jasne prostokąty — wspomnienie po obrazach. Została tylko reprodukcja *Chrztu Litwy* Matejki. Dlaczego właśnie ona? Gdzie są rysunki Dunikowskiego? Gdzie grafiki Skoczylasa? Uratował je przecież, miał przekazać do muzeum. Gdzie podział się mały brąz Kuny? Jest, co prawda, pudło gramofonu, palisandrowe, marki Telefunken, ale trzeba zdobyć skądś igły. A wtedy... Beethoven, Szopen. A może zachowało się coś z Mozarta? Kwartety Brahmsa? Mahlera? Kto wie... Od powrotu z Rakowieckiej nie miał czasu, by zrobić porządek z płytami. Dobrze, że Alicja zaopiekowała się jego dobytkiem; całego uratować nie mogła, ale chociaż trochę książek i płyt. Meble z salonu rozkradziono lub zajęli je lokatorzy, został tylko kredens. Pal lichy meble! Mieszkańskie, pretensjonalne...

Kapitan Wirski odstawia szklankę i ciężko wstaje od ustawionego pod oknem stołu. Spogląda w dół na ulicę: pusto. Zimne, choć słoneczne, przedpołudnie. A może by tak: koniec z tym wszystkim?

Zimny błysk pistoletu, kaliber 7,3. Broń w równym stopniu odpycha, co zachęca, by wziąć ją do ręki. Nie, dziś nie. Chowa broń do kabury i odkłada na nocny stolik.

Z obtłuczonego dzbanka nalewa wodę do miednicy. Szkoda jednak, że nie zachowała się ta marmuro-

wa toaletka... A może jest tam, za kredensem w kuchni? Trzeba by kiedyś zajrzeć... Ale czy warto zaprzętać tym sobie głowę? Wystarczy ten taboret. Też w końcu przedwojenny.

Wirski myje się, wyciera lnianym ręcznikiem i ubiera powoli; zakłada białą koszulę, krawat, niedzielny garnitur. Nakręca zegarek. Wsuwa do kieszonki spodni schaffhause-na, którego złotą kopertę zamienił po wojnie na zwyczajną, stalową. Taka przynajmniej nie rzuca się w oczy, a werk wart jest na pewno parę groszy.

Starannie formuje rondo kapelusza. Szykowny, lekki — prosto od Cieszkowskiego. Odkłada kapelusz na krzesło. Wyjmuje z szafy prochowiec: Chodźmy! Nikt nie woła!

W korytarzu mija współlokatorkę, pannę Rohozińską. Młoda, wysoka kobieta spogląda zalotnie spod grzywki jasnych, krótko obciętych włosów. Tlenionych, co dostrzegł dopiero teraz.

— Samotnie na spacer czy może z tą piękną panią z ulicy Oleandrów?

Skąd, u diabła, wie o niej, o Tani? Zastanawia się lekko zmieszany. Odpowiada jednak spokojnie:

— Z ulicy Partyzantów, moja panno. Teraz Partyzantów.

Rohozińska śmieje się. Nietrudno wyczuć w jej śmiechu jakiś fałszywy ton.

— Ja tylko tak, panie kapitanie. Bo gdyby samotnie, to może lepiej... kiedyś ze mną... — kończy po krótkiej pauzie.

Teraz kapitan reaguje śmiechem, wypróbowanym na podobne okazje.

— Nie wiem, czy to wypada. Ze starszym panem z milicji?

— Nie wypada, bym to ja uwodziła pana kapitana. Wypada, by robił to pan kapitan...

Chowa się za uchylonymi drzwiami pokoju, który dzieli z owdowiałą matką. Ten pokój był kiedyś pokojem Marii, jego żony.

Po wyjściu z bramy skręca w prawo, w Klonową. To, co działo się w najbliższej okolicy, dla jednych było symptomem odradzania się miasta, dla innych, takich, jak Wirski, zapowiedzią zmian zacierających dawny kształt stolicy. Nieopodal, na Skwerze Skolimowskim, na wysokość trzech pięter wznosił się stalowy szyb wiertniczy — dowód na rodzin stołecznego metra.

Warszawskie metro wzorować się miało na moskiewskim. Nie koniec na tym: od strony ulicy Puławskiej wyrósł gmach kinoteatru „Moskwa”. Wpływ stolicy światowego proletariatu uwidaczniał się również po drugiej stronie skweru. Jakby z resztek po budowie Pałacu Kultury powstawał potężny gmach ambasady. Budowa pożarła już część ulicy oraz końcowy przystanek kolejki skolimowskiej. Wirski z żalem odnotował zniknięcie pudła starego wagonu, które od lat trzydziestych pełniło funkcję kasy i poczekalni. Podobnie myślał o likwidacji drewnianych płotów wokół przystanku. Martwił go apetyt budowniczych na relikty tamtej, prawdziwej Warszawy. Nawet tak

niepozornych, jak płot przy Spacerowej. W końcu to na tym płocie podarła sukienkę Marysia, kiedy była jeszcze harcerką i chodziła na skróty na Flory. Incydent przesądził o jej losie. Wirski, czterdziestoletni wdowiec — wzruszony i zakochany — oświadczył się licealistce i został przyjęty. Po miesiącu wzięli ślub w kościele św. Zbawiciela. Rok później, 4 września, wolontariuszka Maria Wirska zginęła na Dworcu Wschodnim. Zastrzelił ją niemiecki lotnik, gdy z rannym żołnierzem na noszach uciekała w stronę schodów do zbawiennego przejścia pod peronami. Biegła jako druga — nie zdążyła. Przeżył ten ranny i pierwsza sanitariuszka, podobno żona ministra...

Od czasu do czasu miał do dyspozycji nowiuteńką warszawę; jeśli tylko mógł, folgował słabości nabytej jeszcze przed wojną: do jazdy taksówką. Postój taksówek u wylotu Klonowej oblegała zazwyczaj gromadka chętnych: matek z dziećmi, podróżnych z tobołami, bywalców baru Pod dwójką — ale wysłużona skoda z numerem bocznym 031 zdawała się czekać tylko na kapitana. Pan Ludwik, wąsaty, siwy lwowianin, słabo znał stolicę, za to wnosił w życie śledczego, choćby i na krótką chwilę, ową miękkość i elegancję właściwą swoim krajanom — antidotum na chamstwo i cwaniactwo nowych mieszkańców Warszawy.

Tego świątecznego, chłodnego, ale słonecznego dnia na postoju nie było ani pasażerów, ani taksówek. Nie pracowała inwalidzka trafika w metalowym okrągłaku przy Unii Lubelskiej. Kwietniowej niedzieli cel wędrówki Wirskiego znajdował się nieopodal, po nieparzystej stro-

nie Marszałkowskiej. Kapitan przystanął przed witryną „empiku”, obejrzał wydawnictwa czeskie i bułgarskie (radzieckich, które widział w piątek, już nie było — cieszyły się dużym powodzeniem). Potem przekroczył Szucha i wyminął grupkę pijaków. Wytoczyli się z baru Pod dwójką, lokalu w powszednie dni odwiedzanego przez dziennikarzy „Życia Warszawy”, jednak w niedzielę przez bardziej pospolitą publiczność. Ci gorsi, niedzielni goście usiłowali coś zaintonować, ale szybko zamilkli, czując karcący wzrok przechodniów. Odświeżnięci przyodzia- ni ludzie spieszyli w stronę placu Zbawiciela, zapewne do kościoła. Po barwnych stroikach, które niosły dzieci, Wirski domyślił się, że idą poświęcić palmy. A więc dzisiaj jest Niedziela Palmowa!

Pijacy przystanęli w sąsiedniej bramie i — nie bez wysiłku, kiwając się — zapalili. Odłączyli się od nich dwaj młodzieńcy w wysokich kaszkietach. Miotając grubym słowem, chwycili za ręce i pociągnęli za sobą zalaną, jaskrawo umalowaną dziewczynę. Przeklinała nie gorzej od swych prześladowców. W pewnej chwili uwolniła się od nich i szybko pohalsowała ku przystankowi „setki”.

— Zajebię cię, ty wywłoko! — rzucił z rozpaczą młodszy z prześladowców. Machnął ręką, ale cios zawisł w powietrzu; chwilę łapał równowagę, aż wreszcie osunął się na trotuar. Drugi z opryszków ominął leżącego i ruszył szparko za uciekinierką.

Zręcznym manewrem Wirski zagroził drogę pościgowi. Chłopak zatrzymał się i wymierzył cios kapitanowi. Ten jednak uchylił się. Kolejny cios, z przeciwnej strony,

także chybił celu. Kapitan przeszedł do kontrataku — podciął napastnika. Chłopak zachwiał się i wyłożył na chodniku. Podczas gdy usiłował się podnieść, Wirski szykował się do dalszej walki. Tymczasem, jakby spod ziemi, wyrósł mundurowy, a za nim dwóch cywilnych. Poznali kapitana: mundurowy zaszalutował. Cywile bez pośpiechu zabrali się za kopanie leżących.

— Dosyć! — rozkazał kapitan, ale nie odniosło to skutku. — Dosyć, powiedziałem! Cywile porzucili swoje zajęcie. Jednemu z chłopaków krwawiło mocno ucho, drugi nie dawał oznak życia.

— Co z nim? Zemdlął? — zaniepokoił się Wirski.

— Zdechł, kurwa — powiedział starszy z oprawców.

— No, to nie chciałbym być w waszej skórze — odparował Wirski.

Chłopak odzyskał w końcu przytomność.

— I po co ci to było? — powiedział z troską kapitan. — Możesz ustać na nogach?

— Mooogę... — wybełkotał tamten, ale już za moment znów leżał na chodniku.

— Na komisariat! — zaordynował kapitan. — A wy tam — zwrócił się do tajniaków — koniec z tym futbolem!

— Tak jest! — zaszalutował mundurowy. Cywile milczeli; czuło się, że chcieliby choć trochę jeszcze... Odstąpili przecież o krok. Zapalili. Pozornie obojętnie przyglądali się leżącym.

Wirski przepuścił tramwaj i przeszedł na drugą stronę Marszałkowskiej. Udał, że patrzy na pusty basen w sklepie rybnym, a potem na sobotni numer „Życia Warsza-

wy” wystawiony w gablocie. Stróże porządku zaprzestali egzekucji. Kapitan wołał jednak zaczekać. Silny podmuch wiatru ciągnącego od wschodu popchnął go w stronę placu Zbawiciela.

— Nieźle się ta niedziela zaczęła — podsumował. Było dopiero południe, więc wiele mogło się jeszcze zdarzyć.

Część Domu Prasy Spółka Akcyjna, tego od „czerwonej” prasy: „Kurierów”, porannych i popołudniowych, od „Przeglądu Sportowego”, „Kina” oraz innych dochodowych tytułów, a także sąsiedni dom, zastąpiła długa kamienica z piaskową elewacją. Budowniczym stolicy nie chciało się usuwać resztek przedwojennych domów, toteż pochowali je w przyziemiach nowych. Schody i ozdobna balustrada tworzyły swoisty nagrobek posesji o numerach 5, 7 i 9. Pod siódmym, na antresoli wysokiego parteru, ulokowała się restauracja Rarytas. Oznakowana jako lokal najwyższej, bo „S” kategorii, przyciągała — mimo słonych cen — tłumy gości. Warszawiacy spragnieni byli wygody i elegancji, a przeto i normalności; Rarytas tę ich potrzebę wypełniał. Czynił to pospołu z pobliskim Cristalem i kawiarniami przy placu Konstytucji.

W garderobie na dole zostawił podszyty wiatrem prochowiec. Spojrzał na zegarek: była dwunasta piętnaście, czyli kwadrans na pierwszą, jak by sam powiedział jeszcze nie tak dawno. Kupił u szatniarza gazetę i dwie paczki grunwaldów; powoli ruszył na piętro. Rutynowo obrzucił wzrokiem bar na dole. Dwie, trzy dziwki, wszystkie pracują dla milicji; alfonsi w odświętnych garniturach —

chyba też zarejestrowani. W każdym razie nikogo nowego. Dobra! Przynajmniej tu powinno być spokojnie.

Minął gromadkę ludzi czekających na zwolnienie się miejsc i niespiesznie poszedł w głąb ostatniej salki. Tutaj, jak co niedziela od dwunastej, czekały nań pod oknem: stół ze śnieżnobiałym obrusem i takimi serwetkami oraz trzy wysokie krzesła. W wazoniku żółte kwiatki; nie jakieś z bibułki — prawdziwe kaczeńce. Wirski umościł się wygodnie i pograżył się w lekturze oprawionego w ceratę jadłospisu. Potem wziął do ręki sobotni numer „Życia”.

Po chwili spojrzął za okno. Z tego miejsca mógł od biedy obserwować rozwój sytuacji Pod dwójką. Panował tam spokój. Zapewne w oczekiwaniu na wóz milicyjny zaciągnięto awanturników do bramy. Wirski pomyślał z niechęcią, że będzie musiał doglądać ich sprawy. Inaczej posadzą szczeniaków za „czynną napaść”: banalna, wydawałoby się, burda zakończy się dla nich tragicznie. Odwrócił wzrok od okna i spojrzął na wypełnioną salę. Przy stole obok siedziała para trzydziestolatków z malcem o platynowych, niezbyt równo przyciętych włosach. Wirski uśmiechnął się na widok chłopca, którego pamiętał z sąsiedztwa na Flory. Kilka dni wcześniej matka, przystojna szatynka, wlokła go siłą do fryzjera na Bagateli. Posiadacz platynowej fryzury opierał się i darł wniebogłosy; wiedział już, że ścięcie włosów to niemal akt kastracji. Cóż z tego, że tylko symbolicznej...

Szatynka ubrana ze skromną elegancją odwzajemniła się promiennym uśmiechem, odsłaniając przy tym białe,

równe zęby. Jasnowłosa mężczyzna, najpewniej ojciec chłopca, spojrział nieufnie. Lat trzydzieści trzy lub cztery, ocenił Wirski. Zaliczył podchorążówkę AK i powstanie; objęty amnestią, przyczał się w jakimś urzędzie lub redakcji. Potem jednak zlustrował lśniące oficerki, bryczesy z sukna i świeżo odprasowaną kurtkę. Za elegancki i za sztywny jak na tutejszego, skorygował. Raczej Lwów lub Kraków. Wielkopolska też w grę nie wchodzi. Oni tam zawsze udają nędzarzy. Śpią na dolarach, ale do wyjścia zakładają jakieś lachy...

— Czy towarzysz kapitan już wybrał? — kelner wyrwał Wirskiego z niedzielnych rozmyślań. — Mamy dziś świętutki rumsztyk z fryteczkami, no i śledzika, oczywiście. W oliwie, ze śmietanką oraz po japońsku...

— A ten kotlet *à la* Pożerski? — Wirski stuknął w powieloną na niebiesko kartkę jadłospisu.

— Towarzysz kapitan ma na myśli kotlet pożarski — poprawił go uprzejmie kelner. — Raczej nie polecam...

Wirski westchnął. Głównie z powodu tego „raczej nie polecam”. Przyzwyczał się już do podobnych do tej rad kelnerskich. Rad wyłącznie negatywnych. Nie rozumiał jednak, skąd zmiana w nazwie jego ulubionego dania. Dlaczego Pożerski, restaurator i hotelarz z Marszałkowskiej, zamienił się w „strażackie” danie. Klasowa zemsta czy zwykła pomyłka?

— Niech będzie ten rumsztyk... — skapitulował. — Na przystawkę zaś śledź po japońsku.

„Śledzik”, podobnie jak inne zdrobnienia, nie przechodził mu przez gardło. Szczególnie po trzech latach aresztu,

kiedy klawisze nakazywali mu „trzymać rączki z przodu”, zaś śledczy „unosić nóżki wyżej i wyżej”.

Przy sąsiednim stoliku nowa sytuacja. Kelner podał przystawki (indyk w galaretkę trzy razy), dwie lemoniady, a także setkę dla głowy rodziny. Wtedy zdarzyła się rzecz dość niezwykła:

— Ja indyków nie jadam — oświadczył z godnością malec. Wstał od stołu i ruszył w stronę wyjścia.

Szatynka parsknęła śmiechem, ale akowcowi daleko było do żartów.

— Natychmiast wracaj! — krzyknął w stronę platynowego chłopca. Ten zatrzymał się. Co dalej? Pobiegł w końcu desperacko przed siebie. Zręcznie wyminął gościa w czarnym płaszczu. Akowiec, wyraźnie podenerwowany, podążył za zbiegiem. W połowie sali zderzył się z krępą, niemal kwadratową postacią w skórzanym okryciu.

— Uważaj, co robisz! — rzucił kwadratowy, schylając się po kapelusz.

— Pan też mógłby uważać — odparł spokojnie akowiec.

Niestety, ciąg dalszy incydentu pozostał niewidoczny. Kwadratowy, nazwiskiem Kowadło, w randze majora bezpieczeństwa, zmierzał prosto do stolika Wirskiego. Przysiadł się bez słowa, położył kapelusz na śnieżnobiałym obrusie, rozpiął płaszcz. Kapitan mógł zobaczyć solidny, granatowy garnitur, na wzór prezydenckiego w tenis, a także wypukłość pod marynarką z lewej strony oraz połuzniorny krawat, na palcach obu rąk sygnety. Wirski wiedział, że

w razie potrzeby służyły za szpadrynę*. Odwrócił wzrok od tych dłoni, ciężkich i niezgrabnych. Widział kiedyś, jak łąpska Kowadły miażdżyły nosy i obrywały uszy... Systematycznie, bez cienia emocji, skutecznie — jak ci, którzy przesłuchiwali go w czterdziestym dziewiątym, jak cywilni spod „dwójki”, jak oni wszyscy... Boże, dlaczego nie porzuciłem munduru?, zastanawiał się kapitan. Mogłem zostać ślusarzem, mechanikiem samochodowym, uczyć w szkole wuefu lub prowadzić taksówkę... Przy odrobinie szczęścia powrócić do prawniczego fachu, pracować w jakiejś kancelarii, w urzędzie. Doczekać spokojnie emerytury...

Nie odezwawszy się ani słowem i nie częstując kapitaną, Kowadło zapalił dukata. Zaczął przeglądać jądłospis. Wreszcie wydusił — ni to z niechęcią, ni to z triumfem:

— Kapitanie Wirski, od godziny powinniście być przy alei Róż numer 6A!

— W alei Róż 6A? — Wirski był nieco zaskoczony, jako że adres ten, a właściwie sąsiedni, ambasady Królestwa Egiptu, kojarzył mu się z najtrudniejszą sprawą jego przedwojennej kariery: morderstwem egipskiego *attaché militaire*. Tak, rozwikłania tamtej sprawy mało nie przypłacił nie tylko życiem, ale i policyjną karierą...

— Sześć A, piętro pierwsze, mieszkanie towarzysza Szczapy — Kowadło nadal nie krył niechęci z powodu konieczności objaśniania kapitanowi tak oczywistych faktów.

— A czegoż to towarzysz Szczapa może chcieć ode mnie?

* daw. kastet.

— Ten Szczapa nie może już niczego chcieć... — oficer zniżył głos. Stwierdziwszy, że małżeństwo obok zbiera się do wyjścia, dodał:

— Bo Szczapa nie żyje od kilku, góra kilkunastu godzin!

W podobnych momentach funkcjonariusz wydziału zabójstw z trzydziestoletnim, głównie przedwojennym stażem, nie okazuje ani zdziwienia, ani zaciekawienia. Minęła dłuższa chwila, poświęcona przez majora studiowaniu niedzielnej karty dań.

— Służąca znalazła dziś ciało Szczapy. O dziewiątej rano, w jego salonie — Kowadło ściszył głos, jeszcze bardziej przysuwając się do Wirskiego. Z ust śmierzdiało mu tytoniem i wczorajszą wódką. — Szczapa trzymał w rękę tetetkę, służbową, z której strzelił sobie w łeb... albo z której wystrzelił morderca i upozorował samobójstwo.

— Towarzysz Szczapa i samobójstwo... Rzeczywiście niełatwo w to uwierzyć — odezwał się wreszcie Wirski i westchnął. Trudno było jednak zgadnąć, czy z racji śmierci wybitnego, dobrze znanego towarzysza, czy z powodu śledzika po japońsku oraz setki, które pojawiły się przed nim. Na stoliku obok czekały wciąż trzy porcje indyka w galarecie i lemoniada wraz z wódką dla akowca.

— Jeszcze raz śledź i setka dla mojego gościa — zaordynował kapitan.

Zanim jednak kelner zdążył się skłonić i ruszyć w stronę bufetu, Kowadło bezceremonialnie sięgnął po indyka i wódkę z osieroczonego stolika.

— Chyba im się przejadło — skwitował grabież. — Żeby tak zamówić i zostawić. Za dobrze się im, skurwysynom, powodzi...

Zawartość literatki zniknęła w gardle majora, po chwili zaś indyk. Wtedy w drzwiach sali pojawiło się małżeństwo z odzyskanym chłopcem. Buntownik miał czerwone ucho, w oczach łzy, ale ogólnie dzielnie się trzymał.

— Zuch — pomyślał kapitan.

Akowiec w mig ocenił sytuację. Spoglądał z niesmakiem to na Wirskiego, to na Kowadłę.

— Panowie pomylili stoliki, jak się domyślam — powiedział ze zjadliwą uprzejmością.

Ten akt odwagi wywołałby niechybnie odzywkę Kowadły, gdyby nie interwencja chłopczyka:

— Tato, panowie wiedzieli, że ja nie jadam indyka.

Szatynka uśmiechnęła się promiennie. Wirski podniósł się i powiedział:

— Przepraszam za to nieporozumienie. Państwo pozwolą, że będą dziś moimi gośćmi.

Nastąpiła obustronna wymiana uprzejmości, cokolwiek wymuszona ze strony jasnowłosego akowca. Kelner, świadom powagi sytuacji, dwoił się i troił, toteż już po kwadransie oficerowie mogli zapłacić i wstać od stołu, żegnani z ulgą przez czekających na wolne miejsce gości.

Wyszli na ulicę. Od strony placu Zbawiciela ciągnęła gromadka dorosłych i dzieci z kolorowymi palmami — najpewniej do ogródka jordanowskiego przy Polnej. Wirski wyłowił wzrokiem rudą piękność. Smukła jak minaret, trzydziestoletnia Tatiana Rypnis była żoną popularnego

tenora. Przyciągała uwagę nie tylko urodą, ale też owym szykiem, który w powojennej Warszawie odradzał się wolno i tylko w obrębie nowej klasy wyższej. Dama prowadziła własną replikę imieniem Antosia, tyle że w wieku lat sześciu lub siedmiu. Nie bacząc na towarzystwo majora, Wirski przystanął i zagadnął.

Znali się niemal od dzieciństwa Tani. Była lwowianką, daleką kuzynką Marii Wirskiej, drugiej żony kapitana. Rodzina Tani zaginęła na Wschodzie; ocalała tylko ona. Ponieważ los zatrzymał Wirskiego w okupowanej Warszawie, a przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych spędził w więzieniu, spotkali się dopiero w pięćdziesiątym czwartym. Tani od pierwszej chwili spodobał się ten elegancki, nieco staroświecki mężczyzna, którego pamiętała ze szczęśliwszych czasów. Kapitan zaś, powtórnie owdowiały i bezdzietny, tęsknił za towarzystwem kobiet.

Major przystanął również i dotknął krawędzi kapelusza.

— Pan major Kowadło, pani Tatiana Rypnis — dokonał prezentacji Wirski.

Dama, dziewczynka oraz major lustrowali się wzajemnie. Antosia ubrana w słomiany kapelusz ze wstążką, spod którego błyskało dwoje zielonych, bystrych oczu i mieniły się dziesiątki piegów wywołanych przez wiosenne słońce. Modny, kraciasty trencz Tani, przewiązany w pasie, ciemna obcisła spódnica i nienagannie napięta na smukłej łydce cielista nylonowa pończocha. Głowa niezakryta — zgodnie z demokratyczną, powojenną modą i w niezgodzie z pogo-

dą. We włosach, na końcu, jedwabna wstążka doskonale skomponowana z trenczem.

— Szczęściarz z naszego kapitana — Kowadło komplementował panią Rypnis. Na sekundę zapanowało milczenie. — Przykro mi, ale dziś kapitan nie będzie mógł zaprosić pani na kawę — dokończył Kowadło i spojrzał zaczepnie na żonę śpiewaka.

— Major Kowadło lubuje się w dramatycznych efektach — wyjaśnił spokojnie Wirski. — Teraz, na przykład, obmyśla finał aktu pierwszego...

— Więc jesteśmy z jednej gliny — spuentowała małżonka tenora. — Teatr to mój żywioł. — Podała do ucałowania dłoń obleczoną w delikatny zamsz. Kowadło, niezrażony, pochylił się i złożył głośny pocałunek. Tania poczuła, że zrobił to na nagim kawałku dłoni, między rękawiczką a mankietem trenczu. Odkrycie to nie było dla niej niemiłe, ale Kowadło zepsuł wszystko nową impertynencją:

— Z jednej gliny, to prawda! Wyszło to na jaw w czterdziestym czwartym: piękne panie z dworów sprzedawały się parobkom. Oddawały się za miskę zupy, za życie swoje i swoich mężów...

— Miały więcej szczęścia niż ja, majorze — powiedziała łagodnie Tania. — Ja byłam tylko córką kolejarza; mieszkałam na nieopalanym poddaszu i umierałam na suchoty... i żaden parobek nie zaproponował mi zupy w zamian za moją cnotę. Nikt też nie zadbał o moje bezpieczeństwo. Żołnierze sowieccy zabili moją siostrę i ciotkę; ojciec złożył kości na Syberii...

Kowadło mruknął coś pod nosem. Tania zbiła go z tropu lub najzwyczajniej zaimponowała odwagą.

Zuch dziewczyna!, pomyślał Wirski. A co do kawy, to się jeszcze okaże!

Oficerowie pożegnali się i wsiedli do samochodu majora. Chwilę później zajechali przed elegancką kamienicę przy alei Róż. Był to trzeci dom po prawej, licząc od dawnej ambasady Królestwa Egiptu na rogu obu alei. Te większe, Ujazdowskie, również ocalały, ale już w 1946 roku musiały, do połowy przynajmniej, użyzyć imienia marszałkowi Stalinowi. Obecność czarnych citroenów nie była tu czymś nadzwyczajnym, a Wirski natychmiast rozpoznał pojazdy oficerów z pobliskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa.

W bramie pod numerem szóstym a spotkali zastępcę komendanta głównego MO — znak, że sprawa Szczapy jest poważna i znajduje się w centrum uwagi władzy. Zenon Krochmalski, z generalskim wężykiem na pagonach, przywitał się przyjaźnie, niemal wylewnie. Wirski domyślił się natychmiast, że to właśnie jemu, skromnemu kapitanowi milicji, którego nie awansuje się od lat, przypadnie zaszczyt tropienia zabójcy Szczapy.

— Towarzyszu kapitanie — zakomunikował generał — partia poniosła niepowetowaną stratę, a wy pomożecie nam ustalić, co było jej przyczyną.

Krochmalski jako człowiek konkretny, ceniący czas swój i podwładnych, darował sobie komunały na temat zaostrej walki klasowej, knowań ze strony imperia-
listów lub porwania podpułkownika Świątły. Darował,

a może jemu darowano, zaświtało w głowie kapitanowi. Może właśnie wygasła walka klasowa lub też ogłoszono zawieszenie broni w walce o pokój?

Generał podążył z nimi na pierwsze piętro, do mieszkania Szczapy. Do lokalu, w którym sekretarz rozstał się z tym światem, prowadziły dwa wejścia, główne i na prawo od nich kuchenne, ale bardziej już praktycznym zwyczajem nie zbudowano tu oddzielnych schodów dla służby. W eleganckich drzwiach głównych stał znany Wirskiemu podoficer, zasłaniając widok na dwóch cywilów krzątających się gdzieś w głębi. Starszy sierżant Paprotka wyprężył się, oddał honory i przepuścił oficerów.

Weszli do obszernego westybulu, z którego prowadziły otwarte teraz drzwi do salonu na wprost, sypialni po lewej oraz gabinetu i kuchni po prawej stronie. Były jeszcze drzwi do łazienki i ubikacji, także uchylone.

— Jakiś list pożegnalny, prywatne notatki świadczące o samobójczym zamiarze? — zapytał Wirski funkcjonariuszy, którzy kończyli fotografowanie salonu, a w nim bezwładnego kształtu zwisającego z fotela. Naprzeciw stał drugi fotel, pusty.

— Znaleźliśmy list, towarzyszu kapitanie — objaśnił uprzejmie generał. — Dziwny jakiś i niejednoznaczny. Jak zrobią fotokopię, to zaraz wam przekażą.

— Jest za to rozwalona pościel, damska piżama w sypialni i ślady szminki na kieliszku — dorzucił jeden z ubeków. W ogóle mnóstwo różnych śladów... Dobrze zachowane odciski palców na klamkach, futrynach, na lustrze w przedpokoju.

Spis rzeczy

Dzień pierwszy (Niedziela Palmowa)	7
Dzień drugi (poniedziałek Wielkiego Tygodnia)	53
Dzień trzeci (wtorek Wielkiego Tygodnia)	107
Dzień czwarty (środa Wielkiego Tygodnia)	149
Dzień piąty (Wielki Czwartek)	185
Dzień szósty (Wielki Piątek)	213
Dzień siódmy (Wielka Sobota)	287
Dzień ósmy (Wielka Niedziela)	365
Trzydzieści dni później (niedziela 16 maja)	387
<i>Postowie</i>	425

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Małgorzata Denys

Korekta: Małgorzata Reszewska-Kuśnierz, Agata Krzemkowska

Redakcja techniczna: Izabela Gołaszewska

Projekt okładki, stron tytułowych i przedrozdziałowych:

Szymon Wójciak

Logo serii: Marek Goebel

Fotografie na okładce:

© PAP; © Dmitri Brechalov – Fotolia.com

Fotografia autora: © Krzysztof Żuczkowski / Forum

Fotografie w tekście: © Filip Modrzejewski

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka

Piaseczno, Żółkiewskiego 7A

Druk i oprawa: ABEDIK S.A., Poznań

ISBN 978-83-7414-815-3

Nie odezwawszy się ani słowem i nie częstując kapitana, Kowadło zapalił dukata. Zaczął przeglądać jadłospis. Wreszcie wydusił ni to z niechęcią, ni to z triumfem:

— Kapitanie Wirski, od godziny powinniście być przy alei Róż numer 6A!

— W alei Róż 6A? — Wirski był nieco zaskoczony, jako że adres ten, właściwie sąsiedni, ambasady Królestwa Egiptu, kojarzył mu się z najtrudniejszą sprawą jego przedwojennej kariery: morderstwem egipskiego attaché militaire. Tak, rozwikłania tamtej sprawy mało nie przypłacił nie tylko życiem, ale i policyjną karierą...

— Sześć A, piętro pierwsze, mieszkanie towarzysza Szczapy. — Kowadło nadal nie krył niechęci z powodu konieczności objaśniania kapitanowi tak oczywistych faktów.

— A czegoż to towarzysz Szczapa może chceć ode mnie?

— Ten Szczapa nie może już niczego chceć... — oficer zniżył głos.



Profesor historii autorem pasjonującego kryminału! Wszechwładny Urząd Bezpieczeństwa, towarzysze radzieccy, stolica w odbudowie — akcja *Morderstwa w alei Róż* toczy się w 1954 roku. Warszawskie realia i atmosfera lat powojennych są tłem kryminalnej intrygi!

Ryszard Wirski, funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej, prowadzi śledztwo w sprawie tajemniczej śmierci sekretarza partii. Sytuacja jest trudna, nic nie jest jasne i niczego nie można być pewnym. Kapitanowi depcze po piętach groźny oficer UB. Zidentyfikowanie mordercy nie będzie łatwym zadaniem, okazuje się bowiem, że niepowodzenie milicjanta ma przynieść jego prześladowcy oprócz uznania przelożonych także korzyści osobiste.

Patronat medialny



WWW.CEGLISSLINTERIA.PL

978-83-7414-815-3
9 788374 148153
Cena 39,90 zł

www.wab.com.pl

